

LEGENDY  
NASZEJ  
ZIEMI



Zapomniana

# Twierdza Wolbórz

JAROSŁAW ŚMIECHOWICZ

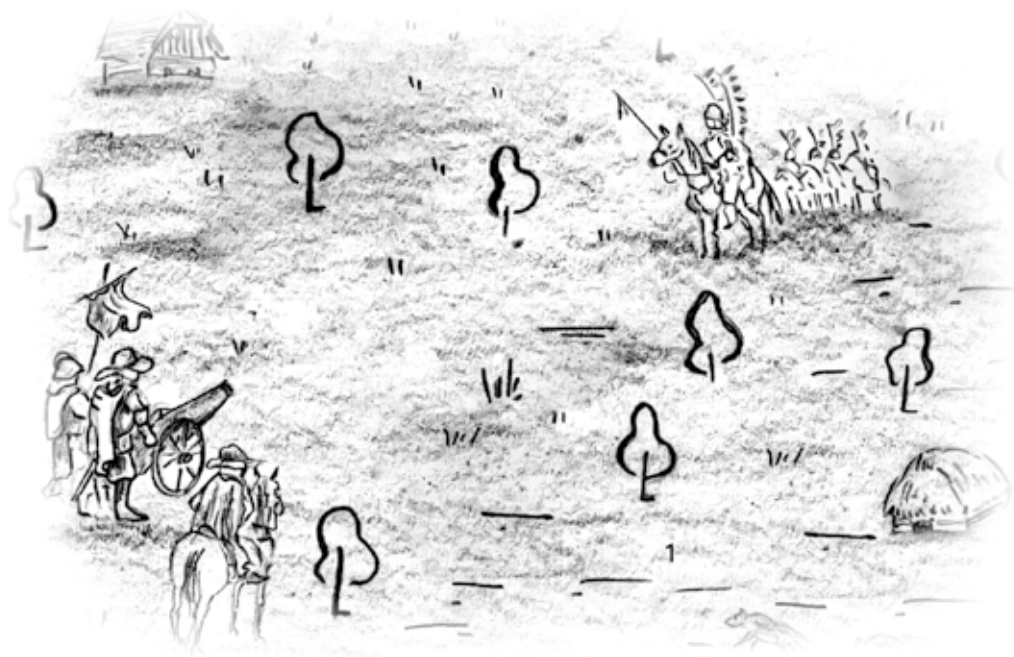


Jarosław Śmiechowicz

Zapomniana  
Twierdza  
Wolbórz



Żywocin 2020



---

Wydawca: Jarosław Śmiechowicz, tel. 505-348-022

Rysunki, fotografia i korekta: Jarosław Śmiechowicz

Copyright © by Jarosław Śmiechowicz

ISBN 978-83-942579-2-7

[www.jareksmiechowicz.pl](http://www.jareksmiechowicz.pl)

Druk  
i oprawa:

**TOTEM**

# Spis treści

<b>Wstęp</b>		
Zamek Wolbórz .....	7	
<b>Rozdział 1</b>		
U kanonika .....	17	
<b>Rozdział 2</b>		
Spotkanie po latach .....	27	
<b>Rozdział 3</b>		
Wojna coraz bliżej .....	41	
<b>Rozdział 4</b>		
Śmierć zdrajcom .....	51	
<b>Rozdział 5</b>		
Szwedzka siła .....	56	
<b>Rozdział 6</b>		
Niewygodny świadek .....	65	
<b>Rozdział 7</b>		
U Jagny i Jędrzeja .....	78	
<b>Rozdział 8</b>		
Zatopione skrzynie .....	85	
<b>Rozdział 9</b>		
Nawałnica ognia .....	96	
<b>Rozdział 10</b>		
Wyznanie Miłosza .....	110	
<b>Rozdział 11</b>		
Bitwa pod Wolborzem .....	121	
<b>Rozdział 12</b>		
Zabijcie wszystkich .....	127	
<b>Rozdział 13</b>		
Terror i pożoga .....	138	
<b>Rozdział 14</b>		
Uciec, ale dokąd? .....	147	
<b>Rozdział 15</b>		
Każdy kąsa, ile zdoła .....	158	
<b>Rozdział 16</b>		
Magdalena w zamku .....	165	
<b>Rozdział 17</b>		
Ruch oporu .....	174	
<b>Rozdział 18</b>		
Walka zaczepna .....	185	
<b>Rozdział 19</b>		
W obronie Jagny .....	194	
<b>Rozdział 20</b>		
Zima w lesie .....	201	
<b>Rozdział 21</b>		
Plan ataku .....	210	
<b>Rozdział 22</b>		
Osłabić Szweda .....	220	
<b>Rozdział 23</b>		
Wypad na biskupie ogrody .....	228	
<b>Rozdział 24</b>		
Śmierć zdrajcom .....	235	
<b>Rozdział 25</b>		
Podstęp .....	246	
<b>Rozdział 26</b>		
Uwolnienie Magdaleny .....	258	

<b>Rozdział 27</b>	
Smutek i nadzieja .....	270
<b>Rozdział 28</b>	
Pościg .....	286
<b>Rozdział 29</b>	
Niespodziewane spotkanie .....	301
<b>Rozdział 30</b>	
Przebiegły Baryła .....	310
<b>Rozdział 31</b>	
Wydobyć skarb .....	320
<b>Rozdział 32</b>	
Śmierć korończykom! .....	333
<b>Rozdział 33</b>	
Przygotowania do bitwy .....	346

<b>Rozdział 34</b>	
Starcie braci .....	355
<b>Rozdział 35</b>	
Powrót biskupa .....	366
<b>Rozdział 36</b>	
Kanonik u bram .....	373
<b>Rozdział 37</b>	
Człowiek z obciętą dłonią .....	383
<b>Rozdział 38</b>	
Odbić jeńca .....	392
<b>Rozdział 39</b>	
Zasłużony koniec .....	400

## Zamek Wolbórz

**N**azwa Wolbórz po raz pierwszy pojawiła się w roku 1136, kiedy gród był wspominany jako uposażenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. *Castrum Wolbórz* pojawia się również w innych źródłach pisanych z drugiej połowy XII wieku jako własność biskupów włocławskich. Prawdopodobnie chodziło o gród kasztelański, obok którego powstała osada targowa.

Zamek w Wolborzu powstał około połowy XIV wieku z inicjatywy biskupa Macieja z Gołańczy lub jego bratanka Zbyluta (też biskupa). Przeprowadzone badania wykluczyły, jakoby warownia została zbudowana na miejscu wcześniejszego grodu, a mała ilość informacji nie pozwala na odtworzenie jej wyglądu z czasu założenia. Jednak przypuszczalnie zamek zbudowany był na potężnym fundamencie ze względu na podmokłe łąki i bagna. Powstał na planie regularnego czworoboku z szeregiem budynków. Został zbudowany z cegły, a fundamenty i podmurówka wykonane były z kamienia. Potem obiekt był wielokrotnie rozbudowywany przez kolejnych biskupów.

Okres świetności zamku przypada na przełom wieków XVI i XVII. W tym czasie zamek miał kształt czworoboku z narożnymi wieżyczkami i trzykondygnacyjną wieżę. Wokół była fosa, a wjazd prowadził przez wzmocnioną bramę. Obok znajdował się tzw. zamek dolny spełniający funkcję zaplecza gospodarczego.

Wolbórz był wtedy jedną z najwspanialszych rezydencji biskupich w kraju. Przebywał tu piętnastokrotnie król Polski Władysław Jagiełło, przyjmował zagraniczne delegacje i pięciokrotnie koncentrował tutaj wojska na rozprawę z Krzyżakami. Przebywali tu też inni królowie: Zygmunt August, Stefan Batory, Władysław IV, Jan Kazimierz, Michał Korybut Wiśniowiecki, Jan III Sobieski i Stanisław August Poniatowski. W tej pięknej siedzibie życie wrzało przede wszystkim w dniach posiedzeń Trybunału Koronnego w sąsiednim Piotrkowie. Naoczny świadek, ksiądz Kitowicz, kantor kolegiaty wolborskiej, tak opisywał te czasy:

*„W dzień poprzedzający reasumpcyę trybunału, zjeżdżali się do Wolborza ci wszyscy, którzy mieli interes przeszkadzać do laski marszałkowskiej. Prezydent (przewodniczący posiedzeniom trybunału ze strony duchowieństwa) dawszy swój obiad, albo pod jego imieniem ks. prymas choć nieprzytomny (nieobecny), albo biskup kujawski jako gospodarz miejsca, zaczynał wjazd do Piotrkowa, któremu asystowali.*

*Bywał ten wjazd prezydencki, acz nie zawsze, tak liczny, że jeden koniec podchodził pod Piotrków, a drugi dopiero wyciągał z Wolborza”.*

W roku 1671 zamek został zniszczony przez pożar. Szybko jednak był odbudowany i użytkowano go przez kolejne 100 lat. Dopiero następny pożar w roku 1776 spowodował, że został opuszczony przez biskupa Antoniego Ostrowskiego, który przeniósł się do wzniesionego niedaleko pałacu. Zamek szybko popadł w ruinę i został rozebrany.

Dzięki przekazom historycznym i zachowanym planom miasta można dziś pokusić się o wskazanie miejsca, gdzie stał wolborski zamek. Podjąłem się właśnie takiej próby.



### ***Pałac Biskupów Kujawskich w Wolborzu***

Wolbórz to miejscowość leżąca w woj. łódzkim w pow. piotrkowskim kilkanaście kilometrów od Piotrkowa Trybunalskiego. Na jednej ze współczesnych map samochodowych Wolbórz oznaczony został kółeczkiem z krzyżykiem pośrodku. Legenda lakonicznie objaśnia ten symbol: „Wieś gminna”. Nie jest to określenie zachęcające potencjalnego turystę. – Bo cóż takiego można zwiedzić na wsi, nawet jeżeli gminnej? – zapyta. Okazuje się jednak, że PTTK zwiedzających okolice Piotrkowa Trybunalskiego kieruje m.in. do Wolborza. Warto zatem przyjrzeć się bliżej owej „wsi gminnej”.



Wolbórz przez większą część swego ponad 700-letniego istnienia był miastem. W 1273 r. książę sieradzki Leszek Czarny nadał Wolborzowi prawa miejskie, którymi mieszkańcy cieszyli się aż do 1870 roku, a więc przez ponad 600 lat. W tym czasie Wolbórz należał do biskupów wrocławskich (1148 r. – bulla protekcyjna papieża Eugeniusza III potwierdzająca przynależność Wolborza ze wszystkimi przyległościami do biskupstwa wrocławskiego), którzy w dużej mierze przyczyniali się do jego rozwoju. Los nie oszczędzał miasta (np. w XVI–XVII wieku spłonęło tutaj pięć kościołów), ale mimo to do czasów dzisiejszych dotrwało kilka interesujących obiektów. Zwiedzający dotrze na pewno do pałacu biskupów wrocławskich, który można uznać za wizytówkę Wolborza i którego nie sposób pominąć (jest doskonale widoczny z drogi krajowej nr 8, biegnącej z Wrocławia przez Piotrków Trybunalski do Warszawy). Drugim ważnym punktem Wolborza jest rynek. Tutaj uwagę każdego zwróci kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Warto zajrzeć do środka, aby poznać jego ciekawą historię. Niestety – kościół w wyniku licznych przeróbek stał się dziś „bezszyłowy”, chociaż zachował elementy gotyckie.

Po wyjściu z kościoła i obejrzeniu znajdującego się także na rynku popiersia Andrzeja Frycza Modrzewskiego może nas ogarnąć rozczarowanie. Czy to już wszystko, co można tutaj zobaczyć? Odpowiedź brzmi: i tak... i nie. Można jeszcze przestudować plan znajdujący się obok przystanku PKS i spróbować dotrzeć do obiektów oznaczonych jako zabytki. Choć trzeba uważać, gdyż plan jest mało precyzyjny i nie podaje nazw zaznaczonych obiektów (są to m.in., o ile można się domyślić, kaplica św. Rocha i kościół św. Anny). Można też obejrzyć kilka szkiców wolborskich budowli zamieszczonych w znajdującej się nieopodal gablocie, przygotowanej z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Wolborza. I to chyba byłoby już wszystko...

Niezupełnie. Pomimo iż na rynku, a także w kościele św. Mikołaja umieszczono kilka tablic informacyjnych dotyczących ważnych wydarzeń i historii Wolborza, nigdzie nie ma śladu ani nawet wzmianki na temat ratusza, znajdującego się niegdyś w miejscu, które obecnie zajmuje sieć wysadzanych drzewami alejek z popiersiem naszego czołowego humanisty Andrzeja Frycza Modrzewskiego pośrodku. A szkoda, bo był to obiekt interesujący i warto byłoby go przybliżyć współczesnemu turyście. Jeśli zatem wrócimy do popiersia Andrzeja Frycza Modrzewskiego, zasiądziemy wygodnie na dowolnie wybranej ławce i... uruchomimy wyobraźnię, mamy szansę „zwiedzić” jeszcze jeden zabytek.

Obecnie ratusz miejski (magiśtrat) kojarzy się raczej z miejscem nieciekawym. Urzędnicy, pokoje, biurka, śterty akt, senna atmosfera, stukot maszyny do pisania (klawiatury komputera) w tle, zapach kawy. A jak było dawniej? Spróbujmy przenieść się w czasy przedrozbiorowe, kiedy na rynku obok kolegiaty wolborskiej (czyli obecnego kościoła św. Mikołaja) stał ratusz. Jan Stanisław Bystron tak charakteryzuje dawne magiśtraty: „(...) najważniejszą, czasami jedyną ozdobą rynku

był ratusz, zazwyczaj największy budynek w mieście, rywalizujący jedynie z gmachami kościelnymi co do rozmiarów i wysokości; był też ratusz dumą mieszkańców i symbolem zamożności miasta. W większych miastach ratusze miały znaczną wartość architektoniczną, a sale radzieckie [tj. rady miejskiej] były wyposażone kosztownie (...). Ale i w mniejszych miastach budowano też solidne, wielkie budynki ratuszowe z konieczną wieżą, na której chętnie umieszczano zegar, najczęściej jedyny w mieście. Nie żałowano grosza na jedyny reprezentacyjny gmach miasta. W mniejszych miasteczkach ratusze stawiano z drzewa; różnił się on wówczas wyłącznie rozmiarami od przeciętnego domku mieszczańskiego, czasami tylko wieżą wyrażał ponad nieliczny zespół domów (...)". Osobne izby przeznaczone były dla burmistrza z rajcami, wójta i ławników, a także pisarza i kancelarii. W ratuszach znajdowały się oprócz tego składy, zbrojownie, kasa (skarbiec), archiwum, a czasem i więzienie. Tutaj też wykonywał swe krwawe rzemiosło kat. Przed ratuszem znajdował się czasami pręgierz, pod którym wystawiano na widok publiczny skazańców, w ratuszu lub w jego pobliżu stała urzędowa waga miejska służąca do kontroli rzetelności sprzedawców – zwłaszcza w dni targowe. Stąd też wychodzili na służbę pacholkiwie miejscy i nocni stróże. Czasami na etacie ratusza znajdował się trębacz miejski.

W czasy świetności Wolborza, a co za tym idzie ratusza wolborskiego, przenosi nas dokument Jakuba Uchańskiego, biskupa wrocławskiego i pomorskiego (Wolbórz miał wtedy prawie 3 tys. mieszkańców – co było porównywalne z liczbą mieszkańców Piotrkowa – podczas gdy Warszawę zamieszkiwało około 8 tys. osób, a Łódź zaledwie 500). Dokument nosi datę 4 kwietnia 1564 r. (akcja prawna miała zapewne miejsce kilka lat wcześniej, ponieważ Jakuba Uchański w 1561 r. został przeniesiony do Gniezna). Biskup, będący z racji sprawowanej funkcji właścicielem Wolborza, za zgodą kapituły (własność biskupa i kapituły w dobrach wolborskich nie była rozdzielona), nadał ratuszowi miejskiemu liczne przywileje.

W arendzie dokumentu (czyli w części, w której formułowano motyw jego wystawienia – często przybrany w szatę rozważań lub sentencji filozoficznych, teologicznych czy też prawniczych) powód nadania uzasadnia biskup w ten sposób: „(...) *Jako usiłując przyjść w pomoc wygodzie Naszego Miasta Wolborza, ażeby Ratusz miejski, już od kilku lat założony [ratusz został wzniesiony za zgodą biskupa Jana Drohojowskiego, poprzedniego właściciela Wolborza], tem łatwiej mógł być dokończony i przy zupełnej mocy i trwałości, czasy wiecznymi mógł pozostać w należytem porządku (...)*”. Interesujące, dlaczego biskupowi zależało na pozycji ratusza w mieście. Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, musimy przyjrzeć się bliżej wymienionym w dokumencie przywilejom. A dotyczą one spraw nietypowych jak na nasze współczesne wyobrażenie ratusza. Pierwsze zdanie dyspozycji dokumentu (czyli części, w której wystawca wyraża wolę stworzenia nowego stanu prawnego) brzmi następująco: „*Wolno będzie w tym Ratuszu Wolborskim szynkować różnego rodzaju wina, propinować słodkie trunki,*

*sprzedawać piwa*”. Ratusz jawi się nam tutaj jako miejsce sprzedaży alkoholu. Prawo propinacji obejmowało także produkcję trunków. Raczej nie czyniono tego w ratuszu. Kurzeniem gorzałki i warzeniem piwa zajmowali się mieszczanie, którzy na rynku sprzedawali swoje produkty. Zacytowany fragment dostarcza nam dodatkowo informacji na temat kontaktów handlowych miasta. W Wolborzu produkowano zapewne miejscowe piwo, ale nie w tym dziwnego, że dla smakoszy sprowadzano piwa gdańskie, wrocławskie czy świdnickie, bowiem szesnastowieczny Wolbórz leżał na szlaku wiodącym z Gdańska i Królewca przez Warszawę, Rawę, Piotrków i Częstochowę na Śląsk. W pobliżu przebiegał też szlak ciągnący się z Kijowa przez Łuck, Włodzimierz, Chełm, Lublin, Radom, Piotrków, Kalisz, Poznań i dalej do Frankfurtu. Przypuszczać należy, iż rozwój handlu w Wolborzu był również pochodną tego, że Wolbórz był rezydencją biskupa wrocławskiego. Była to rezydencja czasowa – biskup spędzał tam kilka miesięcy w roku – ale niewątpliwie zwiększała atrakcyjność miasta. Zapewne liczny był też „personel” dworu biskupiego, który przysparzał mieszczanom dodatkowych zysków, zaopatrując się na miejscowym rynku.

Biskup J. Uchański zezwolił na sprzedaż w obrębie ratusza różnych „tłustości”, smoły, powrozków i innych drobnych rzeczy, które są „tak ku wygodzie Mieszczan tutejszych jak i podróźnych potrzebne”. Przekupniom pozwolono zbudować wokół ratusza budy lub jatki „*dla wygodniejszego pomieszczenia i sprzedaży właściwych towarów, mianowicie: różnego gatunku ryb, śledzi, węgorzy, masła, sera, kaszy, jaj, cebuli, oleju, świec, grochu i innych legumin*”. Spis ten daje nam też w sposób pośredni wiedzę na temat codziennego jadłospisu mieszkańców Wolborza. Wzmianka o jatkach sugeruje nam, iż na wolborskim rynku sprzedawano także mięso. Zapewne tak było, ale pamiętać należy, że w tamtych czasach jadano je stosunkowo rzadko. Na mięso mogli pozwolić sobie tylko bogaci ludzie. Jeden z ówczesnych żartów mówił, że chłop jadł kurę tylko w dwóch przypadkach: kiedy sam był chory albo kiedy kura była chora. Nawet bogata szlachta w okresach między wystawnymi ucztami, które wbrew pozorom nie były codziennością, nie zawsze mogła załatwić swój stół mięsiwem. Innym powodem, dla którego prowadzono beźmięsny tryb życia, były liczne pośty nakazywane przez Kościół. Dlatego chętnie jadano ryby oraz... bobry – a ściślej rzecz ujmując – ich ogony, które jako zwierzęta wodne także zostały zaliczone do ryb, co umożliwiało obejście części nakazów kościelnych dotyczących pośtów.

Aby uniknąć, mogących powstać w trakcie działalności handlowej sporów o zapłatę za dzierżawę lokali, przekupnie zobowiązani zostali do zawarcia kontraktu z burmistrzem i radnymi. Mieli oni opłacać umówiony czynsz na utrzymanie ratusza. Ustalono, iż będzie on wnoszony co roku w dzień świętego Marcina (tj. 11 listopada), który tradycyjnie był dniem wszelkich rozliczeń podatkowych. Była to dogodna data, jako że prawie wszyscy dysponowali w tym czasie zgromadzonymi w trakcie żniw plonami z pól i ogrodów – byli więc wypłacalni.

Obok handlu ratusz w świetle dokumentu był także miejscem pracy majstrów cechu sukienniczego założonego w 1518 roku. Biskup nakazał, aby w ratuszu (i tylko w ratuszu) postrzygano „*różnego rodzaju i barwy z obcych miejsc sprowadzane sukno*”. Postrzyganie było jedną z czynności końcowych w procesie produkcji sukna – gdy włosy sukna wystawały ponad splotem, były nierównej długości oraz zbyt długie, należało je wyrównać. Wymagało to ostrych nożyc i dużych umiejętności postrzygającego. Aż do XVII wieku postrzygalnie należały zazwyczaj do miasta i mieściły się w ratuszu lub obok niego. Wolbórz więc nie był wyjątkiem. Były one urządzeniami użyteczności publicznej i rzemieślnicy dzierżawili je na różne okresy – od roku po dożywocie.

Ponieważ zabudowa Wolborza była w większości drewniana, miasto ulegało licznym pożarom. Aby temu zapobiec, w ordynacji miasta Wolborza z dnia 15 lipca 1713 r. (właścicielem Wolborza był wtedy biskup kujawski i pomorski Konstanty Felicjan Szaniawski) zadbano o środki gaśnicze: „*osęki także żelazne, konwie, i inne do gaszenia i rozrywania ognia instrumenta potrzebne, kosztem publicznym miasta sporządzane być powinny i na ratuszu i na osobnym miejscu dobrze konserwowane i zachowane, aby w przypadku i nieszczęścia każdego (...) używane były*”. O tym, iż problem bezpieczeństwa pożarowego był stale aktualny – choć też przyjąć możemy, że mieszczanie zignorowali poprzednie postanowienia – świadczy także ordynacja z 25 kwietnia 1766 r., wydana przez biskupa kujawskiego i pomorskiego Antoniego Kazimierza Ośrowskiego dla miasta Wolborza. Sprawom pożarnictwa poświęcono tam osobny ustęp. Podobnie jak we wcześniejszej ordynacji przy ratuszu miał znajdować się sprzęt gaśniczy: „*dwie beczki wody na saniach z orczykami do pary koni, dla przeprowadzenia gdzieby było potrzeba, także spryca choć jedna do tych beczek, i osęki do rozrywania ognia, oraz zalewania (...)*”. Miano także wyznaczyć ludzi do pełnienia nocnej warty, aby patrolując miasto w porę mogli dostrzec płonąca zabudowę i przedsięwziąć odpowiednie środki.

W ordynacji z 1713 r. znajdujemy odbicie jeszcze innego problemu. Dotyczył on ówczesnych miar. Nie wszyscy mieszczanie byli uczciwi. Niektórzy usiłovali oszukiwać przyjezdnych chłopów, chcących sprzedać swoje zboże i używali miar niezgodnych z obowiązującymi normami. Powodowało to skargi poddanych biskupa, a także jego sąsiadów, dlatego biskup K.F. Szaniawski nakazał: „*burmistrzowi i urzędowi, aby konformując się do miary Naszej wymierzonej zamkowej, cechą Naszą nazznaczonej, korzec, półkorce i ćwierć, pod ratuszem wymierzone mieli, i aby się więcej w mierze miejskiej nie znajdowało garcy, nad garcy sześćdziesiąt i sześć, jako miara zamkowa na też garce redukowana jest i wedle tych miar zamkowej i ratuszowej, każdy mieszczanin, który tylko zboża kupować i zalewać będzie, swoją miarę uśtanowiona i wymierzoną mieć powinien*”.

Tak więc w ratuszu znajdowały się wzorce miar, a każdy mieszczanin zajmujący się handlem zobowiązany był do posiadania miary zgodnej z ratuszową. Powinien także zanieść swoją miarę „*do cechy Naszej zamkowej dla przyciśnienia jej*” – czyli potwierdzenia jej prawidłowości. Wszelkie próby oszustwa miały kończyć się konfiskatą zboża na rzecz zamku.

Aby ratusz mógł służyć miastu przez długi czas biskup J. Uchański (wracamy do postanowień dokumentu z 1564 r.) określił środki finansowania, remontu i utrzymania tego ważnego dla mieszczan obiektu. W tym celu nadał ratuszowi czynsz z części ogrodów wolborskich. Spośród wymienionych 26 ogrodów dla 19 określono dokładną kwotę: w sumie 63 i ½ grosza rocznie. Czynsz z pozostałych 7 ogrodów miał być opłacany według dawniejszych ustaleń (nie podano kwoty). Przeliczając ówczesne grosze na współczesne nam złote, dowiadujemy się, że czynsz z 19 ogrodów wynosił... ok. 1 000 złotych rocznie. Suma ta może wydawać się zatrważająco niska – spróbujmy sobie wyobrazić remont współczesnego ratusza za 1 000 zł. Jednak w XVI w. cena domu wiejskiego z ogrodem wahała się od 228 do 384 groszy, żniwiarz za dzień pracy wynagradzany był sumą około 1 grosza, a portier w krakowskim ratuszu zarabiał około 130 groszy kwartalnie, to być może spojrzymy przychylniej na kwotę pochodzącą z czynszowania ogrodów wolborskich – pamiętajmy też o pozostałych siedmiu ogrodach. Oczywiście czynsz z ogrodów nie był jedynym źródłem utrzymania ratusza. Nieznana jest nam kwota, jaką uzyskiwano z indywidualnych umów zawieranych z przekupniami. Ratusz utrzymywał się też zapewne z części kar i grzywien opłacanych przez mieszczan, wchodzących w konflikt z prawem. Nie były to jednak sumy zbyt duże, o czym może świadczyć fakt, że na początku XVIII w. ratusz wolborski podupadł. Odbicie tego znajdujemy we wspomnianej ordynacji miasta Wolborza z 1713 r., w której biskup K.F. Szaniawski nakazał remont dachu i wieży ratuszowej oraz odbudowanie budynków – prawdopodobnie chodzi o stragany – wokół ratusza.

Ratusz i rynek miejski był także miejscem wykonywania kar. Wzmiankę na ten temat możemy znaleźć we wspomnianej już ordynacji z 1766 r. Dotyczy ona traktowania „*niewiaśt nierządem publicznym lub prywatnym bawiących się*”. Obywatel „*postrzegłszy (...) takową niewiaśtę*” miał niezwłocznie donieść „*urzędowi radzieickiemu, (...) który to urząd gdyby oskarżoną w tem za słusznem przeświadczeniem winną znalazł, różgami powinien na ratuszu ukarać, a gdyby po otrzymanej pierwszej chłości nie poprawiła się, publicznie na rynku pod ratuszem skaraną, z miasta wygnać*”.

Niestety dokument J. Uchańskiego nie mówi nam niczego na temat samego wyglądu ratusza – być może był podobny do łódzkiego, opisanego w dokumencie z 1585 r., w którym burmistrz i rajcy pozwolili Maciejowi Doczekałowiczowi wybudować ratusz: „*(...) Naprzód pozwoliliśmy temu to Doczekałowiczowi Maciejowi ratusz na placu na to wydanym śród Rynku pobudować, który swym kosztem i nakładem budować ma jako najgruntowniej i ochędoźniej może; na dole izba wielka,*

*z niej komnata, sień, stajnia, na górze letnie siedzenie, izdebka. A my mieszczanie swym kosztem wieżycę cudną zbudować mamy (...)*". W ordynacji biskupa F.K. Szaniawskiego znajduje się też wzmianka o więzieniu ratuszowym (znajdowało się ono w wieży ratuszowej – wspomina o tym ordynacja z 1766 r.).

Uruchamiając wyobraźnię, możemy zatem zobaczyć ratusz otoczony mnóstwem bud i jatek, gdzie krzykliwi przekupnie oferują najróżniejsze towary. Wokół (zwłaszcza w dzień targowy) kręci się mnóstwo ludzi, miejscowych i przyjezdnych, którzy oglądają, targują się, kupują. Zapewne często dochodzi do kłótni, może nawet rękoczynów (miejsca takie przyciągają także rozmaitych oszustów i złodziei pragnących skorzystać z naiwności ludzkiej) między nie zawsze trzeźwymi obywatelami. Jest tłoczno i gwarno. Na rynku znajdują się też zapewne liczne wozy i konie przyjezdnych\*.

Dokładając do tego majstrów pracujących nad suknem, sprzęt przeciwpożarowy, więzienie, a także kata, pręgierz, wagę miejską – uzyskujemy ciekawy i barwny obraz ratusza niezupełnie pokrywający się z dzisiejszym wyobrażeniem.

Według ordynacji z 1766 r. w wolskim ratuszu urzędowali: burmistrz (wybierany na roczną kadencję) i pięciu radnych oraz wójt (pełniący swą funkcję dożywotnio) z sześcioma ławnikami. Zbierało się tam także dwunaście „gminnych”, czyli przedstawiciele mieszczan. Burmistrz i wójt (każdy z przynajmniej dwoma radcami lub ławnikami) sprawowali sądy osobno: burmistrz we wtorki, a wójt w piątki. Aby uniknąć nieporozumień określono ściśle kompetencje obu sądów (np. tylko sąd burmistrza miał prawo rozstrzygać spory toczące się między obywatelami Wolborza a przyjezdnymi).

Po przeanalizowaniu dokumentów można wysnuć jeden wniosek – ratusz wolski zajmował centralne miejsce w mieście. I to nie tylko ze względu na swoje usytuowanie, ale przede wszystkim ze względu na funkcje. Ratusz pełnił rolę swoistego „centrum handlowego” czy też „usługowo-handlowego”. Tutaj można było zaopatrzyć się w artykuły pierwszej potrzeby, zakupić żywność, skosztować rozmaitych trunków czy skorzystać z usług sukienników. Wizyta w ratuszu stwarzała zapewne także okazje do licznych kontaktów towarzyskich.

---

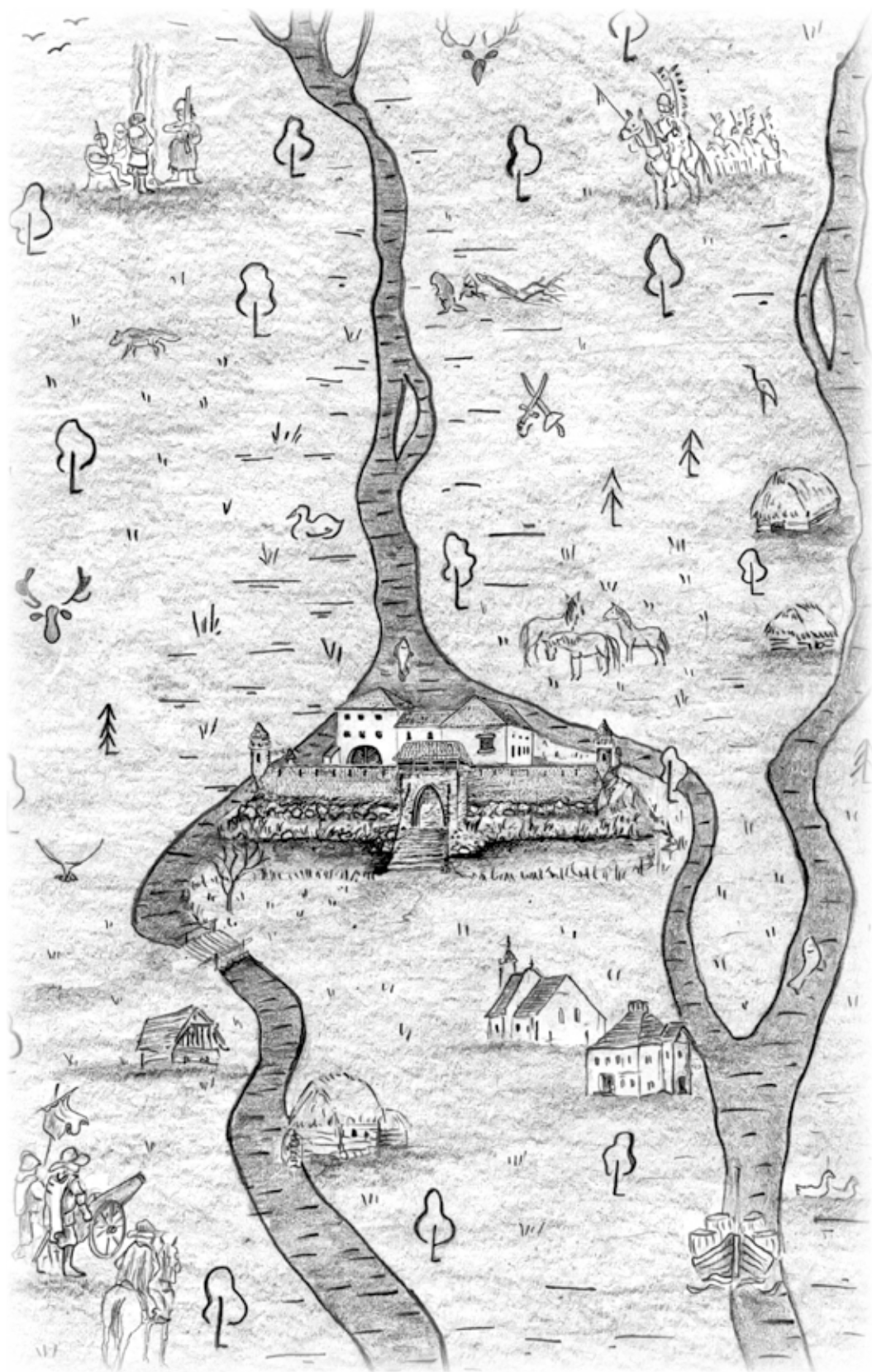
\* Wolbórz obsługiwał zapewne lokalny rynek – w promieniu ok. 10 km – zamknięty w kwadracie: Piotrków Trybunalski, Tuszyn, Ujazd, Tomaszów. Najstarszym jarmarkiem w Wolborzu był prawdopodobnie jarmark odbywający się w dzień św. Mikołaja, czyli 6 grudnia – łączyć należy to z patronem kościoła znajdującego się na rynku. W 1669 r. król polski Michał Korybut Wiśniowiecki ustanowił dla Wolborza cztery jarmarki rocznie: na św. Kazimierza, na św. Piotra i Pawła oraz na św. Michała, czyli odpowiednio na 4 marca, 29 czerwca i 29 września. W Wielki Czwartek miał zaczynać się jarmark trzydziestodniowy.

Rozwojowi miasta sprzyjała niewątpliwie działalność handlowa ratusza. Dlatego też nadane przywileje służyły zarówno mieszkańcom, jak też właścicielowi Wolborza J. Uchańskiemu i jego następcom. O „rentowności” ratusza świadczy też fakt, iż biskup J. Uchański nadał podobne przywileje ratuszowi w Łodzi – w dokumencie z 1561 r. wystawionym dla Łodzi możemy przeczytać następujące słowa: „(...) *tymże mieszczanom naszym udzielamy i dajemy całkowitą swobodę ratusz dla potrzeb i wygody własnej tegoż miasta na nowo zbudować i postawić wraz z jatkami, jak im się zda bardziej dogodnie*”.

Całkowity zmierzch wolborskiego ratusza nastąpił wraz z rozbiorami i nadejściem okupacji pruskiej. Po wycofaniu się Prusaków w 1806 r. Wolbórz znalazł się w obrębie Księstwa Warszawskiego (1807–1815), a następnie Królestwa Polskiego (Kongresowego). Biskupi kujawscy utracili swe posiadłości wolborskie już w czasach pruskich, a w 1818 r. ich dobra przeszły na rzecz państwa. Źródło z 1852 roku przytacza zeznanie świadka, który twierdzi, iż „*ratusz opuścował i rozebrany został w roku 1832*”.

Dzisiaj po ratuszu nie ma najmniejszego śladu. Nie odbudowano go, gdyż Wolbórz w 1869 r. utracił prawa miejskie (w myśl ukazu carskiego, wydanego 1 czerwca 1869 r. na terenie guberni kaliskiej i piotrkowskiej przemianowano na osady 45 miast) i nikt nie musiał się już starać o siedzibę dla burmistrza i radnych, bo po prostu ich nie było. Warto jednak zatrzymać się w tym miejscu choć na chwilę i spróbować wywołać obrazy z przeszłości; załstanowić się nad codziennym życiem ludzi skupionych wokół, tak zdawałoby się nieciekawej instytucji, jaką jest ratusz miejski.

Na koniec jeszcze jedna refleksja. Pobyt w Wolborzu wojsk Władysława Jagiełły upamiętniono specjalną tablicą. Tak uczyniono również z polską akcją przeciwko okupantowi hitlerowskiemu. Jestem przekonany, że dobrym pomysłem byłoby ustanowienie w miejscu, gdzie stał dawny ratusz podobnej tablicy pamiątkowej, która byłaby jeszcze jednym świadectwem czasów świetności Wolborza.





## U kanonika

**G**łuchy grzmot przeszył okolicę. Z północy nadciągała burza, której nikt wcześniej nie widział, a z zamorskiego kraju ku Rzeczypospolitej targanej niezliczonymi wojnami, wykrwawionej, szła armia waleczna i dobrze uzbrojona. Równym, miarowym krokiem maszerowały oddziały piechurów. Długie piki wznosiły się nad kolumnami żołnierzy. Ludzie uzbrojeni w muszkiety, w milczeniu znosząc trudy marszu, trzymali się swoich oddziałów i wznosząc nad głowami sztandary, karnie podążali za swym wodzem. Wozy ciągnące armaty, skrzypiąc toczyły się po bezdrożach. Szwadrony konnych wyprzedzały piechotę, by po jakimś czasie znów zająć pozycję na jej tyłach. Inne rozpraszały się po okolicy, przez co zdawało się, że są wszędzie.

Król szwedzki, Karol Gustaw, zrywając wcześniejsze zawieszenie broni, zbudził drzemiącego ducha wojny i całą swoją armię na kraj Lachów poprowadził. W lipcu 1655 roku wkroczyła ona na ziemie Polski. Kraj zmęczony i wykrwawiony powstaniem Chmielnickiego, uwikłany w wojnę z Rosją, niechętny swemu królowi, zdawał się być łatwym celem. I choć pośród możnych w miastach, zamkach i dworach wrzało, a co bardziej oddani ojczyźnie próbowali ją ratować, to w głębi kraju prości ludzie, niczego się nie spodziewając, żyli swoim życiem. Budowali chałupy. Hodowali zwierzęta i uprawiali rolę. Ścinali drzewa w gęstej puszczy. Warzyli piwo i piekli chleb.

W pewnej wsi kasztelanii woborskiej pośród domostw bawiły się radosne, umorusane dzieci. Okrzyki towarzyszące ich zabawie roznosiły się echem po okolicy.

Jędrzej siedział na drewnianym progu w drzwiach swej chałupy. Oparł obolałe plecy o drewnianą, starą futrynę i westchnął głęboko. Rzucił spojrzenie na dzieciaki, które biegały wokół sterty gnoju. Na niej zaś kury, rozgrzebując zawartość, wyjadały robaki. Młode koguty doskakiwały do siebie i toczyły krótkie pojedynki, trzepocząc skrzydłami i okładając się dziobami. Przegrany uciekał, by skryć się pośród kur. Zwycięzca piał po kilkakroć.

Gdy mężczyzna nasycił swój wzrok rozbawioną zgrają, spojrział nieco dalej na pola i łąki. Ziemia wypełniona roślinnością kipiała życiem. Zielona trawa nasączona kolorowym kwieciem tańczyła na lekkim wietrze.

Za chałupami królowały dzikie zioła. Skowronki zawieszony w powietrzu wypełniały swym śpiewem przestrzeń między niebem a ziemią. Pod olśzynowym lasem, który wdarł się od zachodu między łąki, koziołek stąpał dumnie, co jakiś czas zanurzając swój łeb w zielonej roślinności i wybierając żdzbla traw. Jego krótkie, szpiczaste różki połyskiwały w promieniach słońca. Co chwila unosił głowę i bacznie się rozglądał, nasłuchując otoczenia. Gdzieś w głębi lasu dzięcioł uderzał w stare drzewo. Na wywróconym przez wiatr pniu ukazał się bażant. Kilka razy zaskrzeczał, potrząsając piórami, potem równie niespodziewanie zniknął w gęstwinie krzaków i drzew. Dalej na południe znajdowało się koryto rzeki. Wiła się ona pomiędzy łąkami, kryjąc pośród bagien oraz tatarakowych i trzcinowych pól, to znów wynurzając się zeń, by na otwartej przestrzeni, rozlać swoje wody i tworzyć jeziora, oazy, pełne wodnych zwierząt i dzikiego ptactwa. Wzrok poniósł Jędrzeja jeszcze dalej, za rzekę. W oddali widać było krzyż na wieży kościoła w Wolborzu i baszty zamku biskupiego.

Gdy zbliżało się południe, dzwon kościelny roznosił po okolicy dźwięczne echo, nawołujące wiernych chrześcijan na niedzielną modlitwę. Na ten sygnał żona Jędrzeja, Jagna, wybiegła z chałupy i nawoływać gawieź zaczęła. A gdy już się dzieciaki w chałupie stawiły i obmyły twarze oraz dłonie, nakazała im do kościoła na mszę pomaszerować. Słyszając głos swej żony, Jędrzej podniósł się niechętnie, bełkocząc coś pod nosem. Ospale zaczął się szykować, by małżonce towarzyszyć. Ona, widząc jego powolne ruchy i słyszając narzekanie, zganiła go:

– Czemu jesteś taki oporny?! Dzisiaj niedziela, dzień święty, Bogu trzeba cześć oddać.

On odparł pytająco:

– Ciekawe, co Bogu milsze? To, że w niedzielę na mszę ganasz, czy to, że ja całe dnie w odrabianiu pańszczyzny na utrzymanie jego sług pot swój wylewam.

Zgorszona kobieta niemal szeptem odpowiedziała:

– Nie mów tak, bo twoje słowa Bogu się nie spodobają i jakąś karę na nas ześle.

Na to Jędrzej odparł:

– A bo to może być większa kara dla chłopca niżli ciężka robota w roli. Na pana, na księdza, a co mu zostanie, tym rodzinę wyżywić musi.

Jagna odparła:

– Ksiądz w kościele mówił, że takiemu pracowitemu, co to swe obowiązki wypełnia gorliwie wobec Najwyższego i bliźnich, do nieba łatwiej będzie się dostać.

Chłop zapytał:

– To pewnie też mówił, dokąd panowie i magnaci pójdą, a biskupi, a szlachta?

Kobiet złapała się za głowę i zaczęła szlochać:

– Oj przestańże takie rzeczy gadać, bo jak kto usłyszy, to ci baty na plecach pozostawi. Po cóż mnie tego wszystkiego słuchać, potem się spowiadać będzie trzeba.

Widząc, że dalsza rozmowa jest bez sensu, chłop machnął ręką, uspokoił się i z gawiedzią w kierunku Wolborza pomaszerował. Drogą piaszczystą, pomiędzy drzewami akacji i krzakami bzu oraz dzikiej róży. Dołączali do nich inni ludzie, którzy na głos kościelnego dzwonu podążali Bogu dziękować.



Nieopodal cmentarzyska, omijając jedną z chałup, Jędrzej krzyknął:

– Hej, sąsiedzie! Do kościoła idziemy, a dołączysz do nas? – Ale kiedy żaden głos nie odpowiedział, wymamrotał pod nosem: – Ten tu, nie wiadomo skąd się wziął. W polu nie robi, pańszczyzny nie odrabia, do kościoła mu nieśpieszno, a żyje.

Ale ktoś, kto się w drodze przyłączył, wtrącił:

– On ponoć za karę osadzony został, za jakieś uczynki przeciwko królowi.

Ktoś inny dorzucił:

– Ponoć stracić go mieli, ale protekcja jakiegoś znacznego magnata sprawiła, że jeszcze żyje.

Jedna z kobiet, prowadząc dzieci swe za ręce, wtrąciła się do rozmowy:

– Nie czepiajcie się biedaka. Oko stracił! Może i jeszcze jakie inne rany ma na ciele albo duszy, bo w samotności żyje, z nikim nie przystaje, więc pewnie się dręczy.

Jędrzej skwitował:

– Ano w drogę nikomu nie wchodzi, to i go zostawimy w spokoju. Nie nasza rzecz.

W końcu rozmowy ucichły gromada ludzi przemaszzerowała po drewnianym moście na rzece Wolborzy, by już prostą drogą w jeden pacierz być pod kościołem. Tam, za miejskim ratuszem, na placu wyłożonym kamiennym brukiem, niezbyt szczelnie otoczony domami, z których niektóre nawet z cegły i kamienia były zbudowane, stał kościół. Najstarsi nie pamiętali od jak dawna świątynia w tym miejscu się znajdowała. Murowana, zastąpiła wcześniejszy drewniany dom Boga, który ponoć niegdyś spłonął. Wokoło pozostawione już były wozy w jednego, a niekiedy i dwa konie zaprzęgnięte. Dalej stały wierzchowce osiodłane, przytroczone do drewnianych słożaków, obok których znajdowały się długie koryta wypełnione wodą. Co bardziej zamożni przybyli wcześniej. Dla nich miejsca w kościelnych ławach nigdy brakować nie mogło.



Tak więc chłopstwo, co się w murach świątyni nie zmieściło, otoczyło ją grubym pierścieniem ludzkich ciał i tak trwało na modlitwie. W trakcie celebry każdy starał się załatwić swoje sprawy z Bogiem. Jędrzeja dzieci, nie słysząc nic z tego, o czym wielebny prawił, zaczęły się nerwowo rozglądać i wiercić. Ale jedno spojrzenie ojca wystarczyło, by dzieci do porządku doprowadzić.

Jeremi Potkowski, szlachcic z Janowa wraz ze swoją córką Magdaleną oraz synami Szymonem i Pawłem w jednej z kościelnych ław skupieni, za duszę swej niedawno zmarłej matki i żony modły wznosili, a stary Jeremi z sakiewki kilka groszy wydobyl i w garści trzymając, obiecał je ofiarować jako jałmużnę dla miejscowej biedoty. Bo to przecież za kościołem dom się znajdował, który był przytulkiem dla starych i bezradnych ludzi. Kościół trzymał nad nim pieczę, a przy każdej okazji ksiądz dobrodziej o tym przypominał, by wierni grosza nie szczydzili, okazując swoje chrześcijańskie miłosierdzie.

Po przeciwległej stronie od gorliwie się modlących, pod obrazem świętego Mikołaja, pewien młody człowiek schludnie odziany przyglądał się ukradkiem córce Potkowskiego. Nie bacząc na miejsce i czas, nie słuchając słów kaznodziei i lekceważąc charakter tego miejsca, układał jakiś plan. Pewnie jedynie Chrystus na krzyżu wiszący dostrzec mógł w jego oczach dzikie pożądanie zmieszane z niepewnością, a może rozczarowaniem. Od dawna próbował ów mężczyzna zbliżyć się do niewiasty, ale ona go nie dostrzegała. Człek ten, znużony przemową kaznodziei, niecierpliwie czekał końca celebry. Bo tego dnia miał jeszcze inne plany. Zacisnął dłonie, poprawił złoty sygnet z czarnym oczkiem. A pozorna zaduma przeobraziła się w zniecierpliwienie.

Gdy czas przeznaczony Bogu się wypełnił, ludzie rozeszli się po wolskim placu niczym mrówki po mrowisku. Jedni do swych domostw pomaszzerowali, inni do gospód i szynków. Niektórzy pośród zaprzęgów rozkładali, co mieli do jedzenia, i raczyli się strawą, nim do swych chałup powracali.

Pan Jeremi przez kanonika do zamku zaproszony zabrał ze sobą rodzinę i pozostawiając zaprzęg służącemu, Jurze, piechotą do twierdzy pomaszzerował. Za nim i jego bliskimi ruszyli ksiądz proboszcz ze swymi wikariuszami oraz jeszcze kilku innych dostojnych, którzy zaspokoiwszy potrzeby duszy, teraz mieli nadzieję na zaspokojenie potrzeb ciała na kasztelańskim obiedzie.

Most zwodzony, otwierający drogę do zamku był opuszczony, a brama otwarta. Przed wejściem czekał na gości klucznik, pan Mikołaj, który wszystkim serdecznie witał i do sali biesiadnej zapraszał. Było tam już kilku zacnych gości. Kanonik odświętnie odziany, zajmując miejsce biskupowi należne,

ale w czasie jego nieobecności jemu przysługujące, czekał cierpliwie aż się sala wypełni, a gdy już się to stało, przemówił:

– W imieniu naszego dobrodzieja, biskupa Kazimierza, i z jego polecenia pełniąc obowiązki kanonika zamku wolborskiego, witam was wszystkich zebranych na niedzielnym obiedzie. Eminencja, niestety w drodze zatrzymać się musiał, bo sprawy niezwyklej wagi dźać się bez jego wiedzy nie mogą.

Ale nie wyjawiał powodu nieobecności biskupa na wydanym przezeń obiedzie, ludzi zaś do stołu serdecznie zaprosił.

W przyzamkowej kuchni kucharze i ich pomocnicy od samego rana uwiłali się, by ze strawą zdążyć. Teraz pieczenie przeróżne na stoły znoszono, wina nie szcędząc ni miodu. Piwo dla służby i pospólstwa zostawiano.

Paweł Potkowski po raz pierwszy z ojcem do zamku zawitał. Rozglądał się więc po jego zakamarkach, korytarzach i biesiadnej sali, chcąc jak najwięcej zapamiętać, jak najwięcej dostrzec, bo nigdy wcześniej nie widział takiego przepychu. Trofea myśliwskie zdobiły ściany jadalni, które czerwienią i złotą nicią przyodziane, tworzyły wspaniały widok. Pośród łbów żubrów i turów, których od lat nikt w puszczy żywych nie spotkał, mniejsze trofea jeleni i wilków zdobiły wnętrza zamku. Między nimi biała broń była zawieszona: oszczepy litewskie, pamiętające Jagiełłę, które ponoć pod Grunwaldem w krzyżackiej krwi umoczone, miecze kute z rękojeściami z kości białej, niektóre z główką wielkości niemalże dorosłego mężczyzny, tarcze tatarskie i duńskie muszkiety, kilka szabel i parę bandoletów. A w miejscach pozbawionych militarnego charakteru, znajdowały się obrazy dośojnych mężów. Namalowane były na płótnie przez wybitnych twórców i oprawione w ramy złotem pokryte.

Pokręcił chłopak głową i do brata powiedział:

– Napatrzeć się nie mogę. Jakie tu piękne rzeczy, a jak ich wiele.

Na to Szymon z uśmiechem odparł:

– A bo to biskupa nie stać! Nie gap się tak na to wszystko, bo pomysła, że jakiś warchoł z ciebie i ni grosza kultury nie masz.

Ten chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ojciec zbeształ go:

– Zamilcz, jedynie obserwuj, a kiedy wrócimy do naszego dworku, omówimy wszystko i wtedy będziesz się mógł dziwić do woli.

Syn posłusznie skinął głową.

W czasie, gdy służba zносиła srebrne zastawy wypełnione pieczonym drobiem owocami przyozdobionym i tuszami dzikiego zwierza, ludzie za stoły zasiadać zaczęli. Potkowsy, nie szukając rozgłosu, z dala w jednym rzędzie ze swymi krewnymi się usadowili. Naprzeciw nich zasiedli inni szlachcice z Będkowa w gościnę przez kanonika zaproszeni, a pośród owych ludzi ten, który Magdalenę bacznie w kościele obserwował. Los chciał, że posadzono go

naprzeciwko dziewczyny. A może swoją przebiegłością losowi pomógł i tu właśnie miejsce sobie zajął. Teraz mógł przyglądać się jej bez dyskrecji. Ona dostrzegła jego natarczywy wzrok, zawstydzona opuściła głowę. Wtedy człowiek ten z kurtuazyjnej uprzejmości zagadnął:

– Wybacz panno, że cię peszę, ale od pewnego czasu spać mi nie pozwalasz.

Ona zaskoczona jego śmiałością, opanowała zdenerwowanie i cichym głosem odparła:

– Nie przypominam sobie, bym pana kiedykolwiek spotkała. A jeśli mnie pamięć zawodzi, to niech pan przypomni.

On chwilę milczał, jakby chciał zebrać siły, wyprostował wąsy, otarł pot na łysej głowie, po czym przedstawił się:

– Jestem Dionizy Skwarkowski. Szlachcic.

Na to ona z ironicznym uśmiechem powiedziała:

– W to nie wątpię.

A pan szlachcic dalej prawił:

– Znać mnie wcześniej nie mogłaś, bom na wojnach czas spędzał. Ale zmęczony niekończącą się szarpaniną i chronieniem swego życia przed ciosem szablą czy unikaniem śmierci od zabłąkanej kuli, powróciłem, by majątkiem ojców pod wsią Będków zarządzać.

Na znak gospodarza ucztę rozpoczęto, a pan Skwarkowski nie folgował:

– Skoro już się znamy, prosić ojca twego muszę, by mi cię przyrzekł.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Wcale się jej ów mężczyzna nie podobał, a przez natarczywość i pewność siebie wydał się jej wręcz odpychający. Na szczęście przysłuchiwał się tej rozmowie jej młodszy brat Paweł i gdy usłyszał takie słowa, z jego gardła wyrwało się:

– Sfolguj waść! Bo ta panna swój rozum ma i swoje zdanie. A może ona już innemu obiecana?

Dionizy powiedział:

– Sfolguję. Dziś jestem, tak jak i ty, młodzieńcze, gościem u kanonika, ale następnym razem mogę nie ustać i biada ci wtedy, że śmiesz ze mną dyskutować.

Słyszając takie słowa, Szymon bratu na ratunek pospieszył:

– Może i na wojaczce się znasz, ale z moim bratem nie zadzieraj, jeśli nie musisz, bo i ze mną zadrzesz.

Czując, że atmosfera zrobiła się niezbyt przyjemna, Dionizy ręką machnął i za kielich z winem złapawszy, przechylił, kryjąc jego zawartość w swoich ustach. Ktoś z gości o Szwedach wspomniął, ktoś inny temat zbagatelizował. A goście bardziej o swych majątnościach gotowi byli opowiadać, niżli o kraju

swoim, który niebawem w niebezpieczeństwie miał się znaleźć. Ale o tym wiedział jedynie okrutny los.

Uczujący, zapomniawszy o bożym świecie, poddali się przyjemności. Zaczęły się toasty, śpiewy i radosne nawoływania.



Z czasem zaś ludzie, kiedy napełnili już brzuchy przepysznym jadłem, napili się miodu i wina, po zamku się rozeszli, nie uśając w radosnych rozmowach, by pod wieczór spacerować po pięknym ogrodzie, któremu nie dorównywał żaden inny w całej Rzeczypospolitej. Ognisk tam służba rozpałiła tak wiele, że stało się jasno jak za dnia.

Pan skarbnik Wiktor Złotowski, prawa ręka kanonika, który do Wolborza przed laty z Krakowa został zaproszony, zarządzał majątkiem biskupim najlepiej, jak potrafił. Jako że grosza nie zbywało, ogród w widłach rzeki Moszczany stawał się coraz okazalszy, a drzew przeróżnych było w nim coraz więcej: zarówno tych, które pośród chałup można było znaleźć, jak i takich, których tutejsi ludzie nie widzieli. Ogrodnik w domu drewnem wykładanym na terenie tegoż przybytku mieszkał i bez przerwy doglądał posiadłości. Drzewa takie jak jabłonie, grusze czy śliwy w uporządkowanych rzędach rosły niczym karna armia, zachowując odstęp i odległość. Pomiedzy alejami drzew owocowych dróżki kamieniem wybrukowano, a z fosi i rzeki, wąskimi kanałami wodę do każdego miejsca tej oazy doprowadzono. Było też tam miejsce,



w którym przeróżne egzotyczne krzewy i drzewa z krajów odległych przywiezione zostały, a tu się do życia zaaklimatyzowały i mimo mroźnych i śnieżnych zim, trwały, ciesząc ludzkie oko. Wielu dostojników, królów, książąt, posłów i emisariuszy, których biskupi gościli w twierdzy, podziwiała kunszt oraz umiejętności ogrodnika i jego parobków.

Jan Skrzydło, dowódca zamkowej straży, w mundurze dragońskim z biskupimi oznaczeniami przechadzał się po alejkach w towarzystwie dwóch zamożnych kupców, Jana Bińka i Gerda Varco. Ten ostatni z odległych krajów przeróżne towary drogą wodną przywoził. Wolborski zamek był jednym z miejsc, które odwiedzał każdego lata, w drodze do Gdańska i dalej na morze zwane Północnym. W czasie rozmowy dowódca wyszedł z propozycją:

– A może by tak panowie na polowanie mieli ochotę? Poproszę pana kanonika, to i łowy zorganizuje od zaraz.

Na to Varco odrzekł:

– Dzięki za propozycję, ale gorące lato nie służy gonieniu po lesie za dzikim zwierzem.

Jan się roześmiał:

– A kto by szanownym gościom w bór kazał iść. Patrzcie, panowie. Za rzeką, na południe, nasz dobrodziej biskup kazał zwierzyńiec założyć.

Tamci zdziwieni zapytali:

– A cóż to takiego?

Dowódca odpowiedział:

– To ziemia ogrodzona drewnianym płotem, wrytym głęboko w las, przez który żadne duże dzikie zwierzę przebrnąć nie może. Natomiast, co jakiś czas nasi borowi organizują bezkrwawe nagonki i z boru żywe jelenie i inne zwierzęta naganiają do zwierzyńca. Te żyją tu dalej. Nawet się rozmnażają, a kiedy trzeba polujemy na nie i bez większego wysiłku w szybkim czasie zdobywamy trofea i miłe wspomnienia. Ptactwa łownego i wodnego nie brak, bobry na granicy zwierzyńca żeremia swe postawiły, tworząc rozległe jeziorka ryb pełne.

Biniek, który pierwszy raz w Wolborzu gościł, nie mógł się nadziwić pomysłowości.

Jakby na potwierdzenie słów Jana, gdzieś w oddali z lasu za rzeką, należącego do zwierzyńca, stado dorodnych jeleni i łań wyszło na polanę i powolnym krokiem, uważnie się rozglądając, przez nikogo niespłoszone, do rzeki się zbliżyło. Kilka samców weszło do wody i piło ją do woli. Potem reszta stada wypełniła brzeg.

Rozmowy pomiędzy ludźmi trwały jeszcze długo. W ogrodzie, gdy przygasły ogniska, zapłonęły dziesiątki pochodni i rozświetlając ów przybytek,

ukazywały jego piękno. Kto z miejscowych nie mógł wejść do środka, zza fosy i murów w świetle płomieni mógł podziwiać to, co zobaczył.

Jednym dzień minął na zabawie, innym zaś w podróży.

Jeszcze tego wieczora od zachodu do Wolborza wjechało dwóch ludzi na koniach, umęczonych i brudnych od kurzu. Zwierzęta ukryto w łąjnie, a jeźdźcy niezauważeni przez nikogo poza strażą, wprost do zamku pomaszrowali. Tam w bramie okazali liśty jakieś, a natychmiast wpuszczeni do środka, jeszcze tej samej nocy z kanonikiem się spotkali.

Gospodarz zmęczony ucztowaniem resztki sił wykrzesał i liśty przeczytał, po czym zagadnął:

– Znacnie ich treść?

Tamci, wskazując na jeden z liśtów, zgodnie odparli:

– Tylko ten, który o niechybnej wojnie ze Szwecją mówi.

Kanonik rozkazał ludziom tym dać izbę, sam zaś, wezwawszy skarbnika, tak do niego mówił:

– W obliczu wojny, jaką nam Szwed szykuje, nasz zwierzchnik, szanowny biskup Kazimierz nakazał ze swej siedziby z Włocławka wszelkie dobra biskupie wywieźć w bardziej bezpieczne miejsce. – Zastanowił się chwilę, po czym dopytał: – Jak myślisz dokąd?

Skarbnik wyprostował się i odparł:

– U nas w podziemiach skarbiec czeka. Wiele tam dobra się zmieści, zanim się cały wypełni.

Kanonik podziękował rozmówcy, a gdy ten się oddalił, spojrzął w lustro wiszące na ścianie i sam do siebie się uśmiechnął. Po chwili do swego odbicia rzekł:

– Wojna, zamieszanie... Zdrajcy i patrioci w jednym obląkańczym zrywie dla ratowania bądź zguby na śmierć iść będą. No i skarby. W moim zamku. W twierdzy Wolbórz, którą ja zarządzam. Ja Grzegorz Dołęga.

Zgasił świece i zamknął na klucz drzwi do komnaty, nalał sobie jeszcze czerwonego wina. Siorbiąc, łyk za łykiem, nad czymś rozmyślał, by w końcu mruknąć:

– Na każdej wojnie ktoś traci i ktoś się bogaci. Tym razem moja kolej.

Potem zasnął.

## Spotkanie po latach



ciemnej sieni siedział w kącie na snopku słomy z pustym już dzbanem znużony człowiek. Zdawałoby się jakby uciekł z piekła, bo twarz miał osmoloną i wyglądał nieciekawie. Długie włosy, potargane na całej głowie przypominały bocianie gniazdo, a nie ludzką czuprynę. Broda, niemal do pasa sięgająca, z resztkami strawy pomiędzy zarostem, przykrywała poszarpane i brudne ubranie. Swym wyglądem stanowił jedność z otoczeniem.

Kury zbudzone ze snu z samego rana razem z kogutem kolorowo upieczonym uwijały się i wokół tego człowieka wybierały resztki strawy, która mu się skruszyła poprzedniego wieczora. Co odważniejsze wprost z brody okruchy mu wydziobywały. Rozochoczone ptaki uwijały się na tym żerowisku, by jeden przed drugim więcej kąsków pochłonać. Wtem kogut wskoczył zuchwale na kolano człeka i napinając się, zaczął pisać, budząc świat do życia.

Słyszając głos koguta, śpiący w barłogu chciał poderwać się ze słomy, ale ześlizgnęła mu się dłoń i upadł bezwładnie na ubite klepisko. Dumny do tej pory kogut, zaskoczony czmychnął w bok, zabierając ze sobą równie spłoszone kokoszki. Ptaki, trzepocząc skrzydłami, wzbity tumany kurzu i pozostawiły kilka piór. Mężczyzna oprzytomniał wreszcie i podniósł się z twardej ziemi, rzucając kilka przekleństw. Otarł spocone czoło rękawem kubraka, potem włosy odgarnął z twarzy na tył głowy i chwiejącym się, niepewnym krokiem poszedł w kierunku izby. Pchnął ręką stare drzwi, przez korniki niemal doszczętnie zjedzone, które ledwo wisiały podtrzymywane na metalowych zawiasach. Te skrzypnęły, gdy się otwierały, tworząc szczelinę na tyle dostateczną, że ów człowiek wejść do pomieszczenia zdołał. Szarpnąwszy, zamknął je za sobą. Od razu do drewnianego wiadra dopadł, spojrzawszy w odbiciu wody, która tam się znajdowała, ujrzał swoją twarz. W pierwszej chwili wzdrygnął się na ten widok, przestraszył, jakby samego diabła zobaczył. Szybko jednak opanował emocje, gdy dotarło do jego świadomości, że to nikt inny tylko on sam. Miłosz, bo tak go zwali od urodzenia. Zanurzył więc dłoń w zimnej wodzie i twarz nią pochłapał. Chłód sprawił, że rozum powrócił. Oprzytomniał, potem wsadził głowę do naczynia i pić zaczął, a po kilku

łykach zanurzył ją całą, by gwałtownie poderwać i strugami wody zapryskać wszystko dookoła. Widocznie bardzo go to zmęczyło, bo usiadł przy ławie i chwilę ciężko oddychał. Rozejrzył się po ścianach izby. Zewsząd zwisała pajęczyna, a w miejscu u samego szczytu wróble założyły gniazda i tam chowały swe młode. Nie było im trudno wlatywać do izby przez szczeliny pomiędzy belkami a słomianym dachem. Na ławie nieopodal siedzącego porozrzucane były różne naczynia. Jakiś metalowy talerz wywrócony do góry dnem, obok kubek gliniany z urwanym uchem. Na środku kawał starego chleba, miejscami pokrytego zielonoszarą pleśnią, nadgryziony przez myszy, które wokół biegały, lekceważąc mężczyznę. Naprzeciw było łóżko z bali drewnianych zbite i słomą wyściełane. Na nim zrobił sobie legowisko pies i odganiał każdego intruza od tego miejsca, warcząc i poszczekując. Miłosz ochryplym głosem wybełkotał:

– Chodź tu, piesku. – Ale zwierzę jedynie łbem pokręciło, lekceważąc pana.

Miłosz z ogromnym wysiłkiem głos wzmocnił, cmoknął i zawołał:

– Chmiel, do nogi!

Tym razem pies natychmiast przybiegł, merdając ogonem. A gdy go brodacz po łbie i karku poklepał, odwzajemnił się, liżąc jego dłoń. Sierść miał dość długą i pozawijaną, na karku szarą, zaś pod brzuchem rdzawo podpalaną. Łasił się czas jakiś, ale nagle przestał. Łeb do góry uniósł i postawił uszy, sierść na jego karku się zjeżyła, a nozdrza wychwytywały zapachy, intensywnie wciągając powietrze. Brodacz bacznie go obserwował. Ten, długo nie czekając, podbiegł do drzwi i położywszy pod nie nos, zdawał się być do reszty pochłonięty wychwytywaniem obcych woni. Zaczął warczeć. Wtedy Miłosz pośpiesznie wy dobył z kieszeni czerwoną, starą i poszarpaną szmatę, którą przesłonił sobie prawe oko i zawiązał na tyle głowy. Potem podniósł się i chciał podejść do drzwi. W tym właśnie momencie uchyliły się, a w nich stał dobrze zbudowany, odziany w wojskowe szaty człowiek z szablą u boku. Pies zaciekłe ujadał, szczerząc swe kły i nie pozwalał mu dalej wejść. Brodacz przywołał go, klepiąc dłonią w swe udo. Zwierzę wykonało polecenie i podeszło do swego pana, lecz ocierając się tułowiem o jego nogi, w dalszym ciągu obserwowało intruza, powarkując z cicha. Ten, odczekawszy, aż się pies uspokoi, zapytał:

– Ty jesteś Miłosz?

– Ja – odparł pytany.

Gość wtedy powiedział:

– Jestem ze straży zamku Wolbórz. Kanonik nakazał, bym cię do niego sprowadził.

Brodacz zapytał:

– To rozkaz czy prośba? Bo jeśli...

Tamten mu przerwał i nieco łagodniejszym głosem wtrącił:

– Wiem, że jesteś uparty. To prośba twego brata.

Brodacz się uspokoił i zapytał:

– Pewnie nie wiesz, po co mnie wzywa. A jeśli wiesz, to i tak nie powiesz. – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Muszę się odziać.

Doszedł do starego kufra i mrucząc pod nosem, zaśnawiał się:

– Czego może chcieć? Spokoju mi nie daje.

Zrzuciwszy z kufra wszelkie łachy, uchylił wieko i wy dobył zieloną bluzę oraz skórzany pas. Wrzucił to na siebie, nie zdejmując niczego, co już na nim było. Pasem dopiąć się nie zdołał, więc go pozostawił.

Strażnik, rozglądając się po izbie, rzekł:

– Chlew tu masz nieprzeciętny.

Miłosz odbąknął:

– Wara od mego chlewu, bo psem poszczuje, a on takim żołnierzykom w mig gardło rozpruwa.

Strażnik zignorował ostrzeżenie i jakby niczego nie słyszał, utkwiał wzrok w stalowym toporze zawieszonym tuż nad tym, co zdawało się być łóżkiem. Metal błyszczał, a trzon z ciemnego drzewa przyozdobiony był czerwonym sznurem, owiniętym wokół niego, tuż za metalowym ostrzem.

Miłosz, widząc zainteresowanie tamtego, odburknął:

– To topór, którym mój przodek kilka łbów krzyżackich ściął na wojnach z zakonem. Z królem Jagiełłą z Wolborza poszedł, by tam na północy sławę zdobywać.

Strażnik powiedział:

– To godne podziwu, a gdzie twoja sława?

Miłosz, splunawszy na klepisko, rzucił:

– Nie twój interes.

Ale rozmówca nie odpuszczał:

– Może i nie mój, ale ciekaw jestem, dlaczego liście królewskie cię tu trzymać nakazały przy życiu, zamiast stracić, jak każdego zdrajcę.

Brodacz poczerwieniał i warknął:

– Dzisiaj ja zdrajcą, jutro może ty. Skąd wiesz, komu służysz i czy czasami twój dobrodziej któregoś dnia po złej stronie nie stanie, nie pytając cię o zdanie. Wtedy się okazać może, że to ty winienś być obcięty.

Strażnik zaśnawował się chwilę, po czym odpowiedział:

– Mało rozumiem z twych słów. Chodź już.

Brodacz rzucił do psa:

– Chmiel, zostań!

Przed chałupą czekał jeszcze jeden strażnik. Widząc wychodzących, dosiadł konia. Brodacz, gdy go ujrzał, zagadnął tego, który był z nim w chałupie:

– To sam się bałeś przyjechać?

On, jakby się chcąc usprawiedliwić, odparł:

– Takie miałem rozkazy, to je wykonuję.

Pomaszerowali w kierunku Wolborza. Minęli drewniany, trzęsący się po każdym stąpieniu most na rzece szerokiej na kilkadziesiąt kroków oraz drewnianą kapliczkę nieopodal cmentarza. Po niedługim czasie byli już przy kościele. Miłosz rzucił do strażników:

– Dawno w świątyni nie byłem, toteż muszę wejść na chwilę.

Nie protestowali, a gdy zniknął za metalowymi drzwiami świątyni, jeden do drugiego rzekł:

– Po co naszemu panu ta łazęga? Nie dość, że brudny i śmierdzący, to jeszcze bez oka.

Drugi ze strażników odparł:

– To brat naszego kanonika, niegdyś z rycerstwem po świecie hasał. Ponoć z samym Bohdanem Chmielnickim w jednej kompanii krew swoją i szablę dla Rzeczypospolitej poświęcił. Mówią, że kiedy tamten na stronę kozaków przeszedł, do sporu między nimi doszło, a jakiś ruski kiep oko mu widłami wykuł. Wrócił, chałupę po zmarłych przodkach zajął i tam gnije.

Strażnik znowu powiedział:

– Może kiedyś to i on szablą poradził wymachiwać, ale dzisiaj... Wiesz sam, że nogami ledwo włóczy.

W tym czasie Miłosz do ołtarza się zbliżył, by Chrystusowi spojrzeć w twarz. Cisza panująca wewnątrz i zapach kadzidła pomogły zanurzyć się w kontemplacji. Rozmyślał nad czymś, to ręką znak krzyża wykonał i tak trwał czas jakiś.

Spokój modlącego przerwały kroki. Stukot drewnianych butów po brukowanej czerwonym kamieniem posadzce narastał, by w końcu przed ołtarzem ukazała się postać duchownego. Zmierzył on wzrokiem brodacza i nie zważając na jego zadumę, rzucił:

– Na mszy spójność zbierać się może, a teraz...

Miłosz przerwał mu w pół zdania:

– Nie do ciebie przyszedłem, ale do Boga, więc nie wtrącaj się w naszą rozmowę.

Zgniewany tymi słowami kaznodzieja powiedział:

– Jak śmiesz do mnie się tak odnosić. Jestem sługą Bożym i strażnikiem tej świątyni, ty diabelski pomioście.

Miłosz jednak nie przestraszył się jego słów i odparł:

– Ustąp i nie wchodź mi w drogę, bo zapomnę kim jesteś i łeb ci odetnę, by go pod ołtarzem pozostawić, na przestrożę dla potomnych i tych, co się Bogiem zasłaniają.

Tamten, widząc groźną minę brodacza, przestraszył się i uciekł do kruchty. Tymczasem Miłosz do Boga tak rzekł:

– Wybacz, Panie, ale nie dane jest mi pozostać z tobą na osobności. Innym razem zakończę swoją spowiedź.

Po czym wstał i wyszedł do czekających cierpliwie strażników zamkowych. Nie wiedział, że przez szczelinę w śropie krużganku obserwowały go czyjeś oczy.

Stamtąd do zamku było już blisko. Po krótkim czasie, maszerując na południe brukowaną drogą, dotarli do szerokiej alei prowadzącej na zachód przez podzamcze, na którym znajdowały się drewniane chałupy regularnie ustawione wzdłuż niewysokiego nasypu, oddzielającego je od rzeki, która wiała się na wschód. Miłosz szedł aleją, która prowadziła wprost do warowni, i rozglądał się bacznie. Konie stukały kopytami o równo ułożone kamienie. By wejść do zamku, trzeba było pokonać fosę szeroką i głęboką zarazem, bo woda w niej była ciemna, a dna widać nie było. Od lustra wody odbijał się ceglasto-kamienny mur obronny. Strzegły go znajdujące się na każdym rogu baszty, pnące się ku niebu, z małymi okienkami strzelniczymi. Po prawej rzeka tworzyła rozległe rozlewisko, chroniąc dodatkowo zamek.

Gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie bruk się kończył, a nad fosę wystawał fragment mostu z potężnych dębowych bali sklecony, musieli się zatrzymać. Miłosz przyjrzał się poszczególnym elementom, przylegającym do siebie niemal idealnie. Na końcu wysuniętego ku bramie pomostu znajdowały się kamienne podpory, wyrastające z dna fosy, spięte metalowymi prętami, grubymi jak ręka człowieka. Jeden ze strażników krzyknął:

– Straż zamkowa z... – zwrócił się do brodacza: – Przypomnij. Jak cię tam zwać?

Ten odburknął:

– Kanonik wie, jakie jest moje imię. Ty również.

Strażnik, poirytowany, odkrzyknął:

– Otwierać! Do kanonika!

Z okienka nad bramą wyjrzał jakiś człowiek i coś tam zamamrotał. Po chwili zaczęły zgrzytać łańcuchy, a most, który znajdował się do tej pory w pozycji pionowej, zaczął powoli opadać. W końcu uderzył o kamienne podpory i zaстыł w bezruchu. Więc powolnym krokiem pomaszrowali do wnętrza zamku. Miłosz policzył – dwanaście kroków, tyle szerokości miała fosa.

Nad bramą wjazdową widniał herb biskupi. Dwa skrzydła bramy wykonanej z grubej przyozdobionej płaskorzeźbami śtali rozwarte były do oporu i opierały się o ściany korytarza. Nad nim znajdowała się dobrze ufortyfikowana strzelnica z licznymi otworami strzeleckimi. Pokonali bramę. Miłosz znów policzył – pięć kroków szerokości.

Gdy stanął na zamkowym dziedzińcu ukazał się mu świat odmienny od tego na zewnątrz. Kamienny bruk w kolorze czerwieni, taki jak posadzka w kościele, okalał budowlę. Po prawej i lewej stronie od wejścia uwagę przykuł ciąg drewnianych, piętrowych budynków, pośród których uwijali się ludzie. Kilka z tych budynków było mieszkalnych, w innych zaś znajdowały się spiżarnie, kuchnia zamkowa oraz stajnie. Przez uchylone wrota widać było końskie boksy i wspaniałe zwierzęta. Od czasu do czasu któryś z ogierów zarżał bądź kopnął w drewniane ściany boksów. Na wprost znajdowało się serce tego miejsca. Zamek. Wiele okien z każdej jego strony świadczyło, że posiada mnóstwo pomieszczeń.

Na dachu, przytroczeni linami, uwijali się jacyś robotnicy, którzy poprawiali uszkodzoną dachówkę. Jakiś fragment, pozostawiony na chwilę bez opieki zsunął się po dachu i uderzając o ziemię, rozbił się z wielkim trzaskiem. Człowiek, który pewnie nadzorował robotników, krzychał do nich, rzucając śtek wyzwisk. Ale robotnicy nie odrzekli ani słowa, pokornie wykonując polecenia.

Od wewnętrznej strony, przy murach obronnych znajdowały się pomośty, które łączyły wszystkie baszty z bramą wjazdową oraz dwoma innymi, mniejszymi bramami, a także ze strażnicą, pod którą znajdowały się mieszkania strażników. Kilku z nich wygrzewało się w słońcu. Inni na murach pełnili służbę.

Na dziedzińcu na chwilę pozostawiono brodacza samego. Ten, co był po niego w chałupie, burknął:

– Masz tu czekać. Ktoś po ciebie przyjdzie.

Po czym, nie czekając odpowiedzi, wraz z tym drugim zaprowadzili konie do stajni.

Miłosz stał przez dłuższą chwilę, pomrukując:

– Znam ten zamek i każdy jego zakamarek. Na nikogo czekać nie muszę.

Rozejrzał się swym jednym okiem po dziedzińcu. Dostrzegł, że przez okno jednej z komat obserwuje go czyjaś postać. Udał, że jej nie widzi i wlepił swój wzrok w jeden z budynków, o którym wytoczone puste beczki po piwie i ogórkach świadczyły, że to karczma.





Na samą myśl o piwie poczuł ogromne pragnienie. Chciał już tam pójść, ale w tej właśnie chwili podszedł do niego mężczyzna, schludnie odziany w czarną bluzę i czarne obcisłe spodnie, przepasany wąskim metalowym, złocistym pasem ze sztyltem w pochwie. Chłodnym głosem bez wyrazu oznajmił przybyszowi:

– Człowieku, jesteś w warowni biskupa kujawskiego. Nim poprowadzę cię do kanonika, oddaj broń.

Miłosz odparł:

– Wiem, gdzie jestem, znam to miejsce. Nie posiadam broni.

Tamten zlustrował go chłodnym, przenikliwym spojrzeniem, obmacał ubranie i burknął:

– Za mną!

Po chwili stanęli przed wrotami do zamku. Były z dębowego drewna, starannie wykonane z kilkoma wyrzeźbionymi nań fragmentami z pisma świętego. Posiadały furtę, którą uchylono. Weszli do wnętrza.

Szeroki, surowy korytarz z zawieszonymi na ścianach eksponatami starej, nieużywanej już broni, przechodził w gęstowny hol, oddzielony od tamtego jedynie kratą, ale tak zrobioną, że jej metalowe elementy bardziej przypominały wymyślną, precyzyjnie wykonaną ozdobę niżli formę zabezpieczenia dalszej części zamku na wypadek zagrożenia. Stamtąd na górę poprowadzono Miłosza drewnianymi schodami do obszernej sali.

Znów pozostawiono go samego. Spojrzał na sufit wyłożony drewnem i przyozdobiony kolorowymi malowidłami. Na białych jak śnieg ścianach zawieszono były obrazy świętych oraz takie z podobiznami ludzi, których Miłosz nie znał. Przyglądał się każdemu z osobna. Przez obszerne okna wpadało wiele światła, toteż nie musiał zbytnio wyęźać jednego oka, by dostrzec detale.

Po pewnym czasie usłyszał szmery, ktoś nadchodził, jakiś głos zza pleców oznajmił:

– To portrety biskupów kujawskich. Z łaski Bożej, właścicieli Wolborza.

Jednooki nie obejrzał się za siebie, tylko jakby chciał doprecyzować, odparł:

– Zamku. Właściciele zamku!

Na co tamten szorstkim głosem powiedział:

– Warowni, miasta i wsi oraz wszystkiego, co śląpa po tej ziemi.

Miłosz uśmiechnął się szydlerzo. Kątem oka dostrzegł kontury mężczyzny w swoim wieku. Odpowiedział na jego słowa:

– Ja nie należę do nikogo.

– Należysz do Boga. Tym samym należysz do biskupa, który jest jego sługą i orędownikiem tu, na ziemi. Rozumiesz? – zapytał.

Miłosz, rozkładając dłonie, odparł:

– Chyba nie po to mnie wezwwał, by przekonywać do swych poglądów.

Wtedy tamten przyjął zupełnie inną strategię. Jego twarz nieco złagodniała, rozłożył szeroko ręce w powitalnym geście i zawołał:

– Witaj, bracie. Ty zawsze byłeś niepokorny. Więc odłóżmy spekulacje o Bogu, biskupach i świecie wiecznego spoczynku, a zajmijmy się życiem doczesnym.

Brodacz bez entuzjazmu pozwolił się uściskać, czyniąc podobnie. Choć z lekką niechęcią, jednak chciał zachować pozory. Odparł jedynie:

– Witaj! Na początku powinienem ci chyba podziękować, że się za mną wstawiał.

Gospodarz z jednej strony bagatelizował, ale jednocześnie sugerował, jak Miłosz może mu się odwdziaczyć:

– Nic to. Mam nadzieję, że się zrewanżujesz, a okazja się nadarzy. Ale o tym potem.

Po tych słowach gospodarz wezwał służbę, poproszono gościa do innego pomieszczenia, równie pięknie przyozdobionego wymyślnymi meblami i obrazami różnych artystów.

Był tam stół zastawiony na cztery osoby. Przeźroczyście, szklane karafki z czerwonym winem, dzban miodu i srebrne sztuce. Przez uchylone okno wpadały promienie słońca. Widać też było wielki ogród z setkami drzew,

posadzonych w alejkach ludzką ręką w uporządkowany sposób. Przeróżne odmiany mieszały się ze sobą. Pomiędzy nimi krzatali się ogrodnicy. Miłosz stał w oknie jakiś czas, po czym, gdy już służba wyszła, zagadnął do swego brata:

– Nieźle wam się tu wiedzie. Przepych przytłacza nawet mnie.

Usłyszał wyjaśnienie:

– Gdy się dobrze gospodarzy, to majątność sama przychodzi.

Brodacz odparł:

– Bez hipokryzji. Nie jestem prostakiem i wiele już widziałem. Gdyby nie szczodrość władców, którzy mając nadzieję, że zbawienie wykupią za swe plugawe srebrniki i niegodziwość odkupią, pewnie byś ty i twoi biskupi, mieszkał jak ja w kurniku. Ciekawe, czy tam równie gorliwie byście głosili chwałę Bożą.

Poirytowany gospodarz odparł stanowczym, pewnym siebie głosem:

– Jestem kanonikiem, administratorem dóbr biskupich. Pośtanowiono mnie tu, bym twierdzą zarządzał, dóbr bronił, jednocześnie mam władzę osądzania pospólstwa wszelkiego. Uważaj przeto, byś nie przegiął i nie nadużywał gościnności.

Miłosz równie stanowczo zwrócił się do brata:

– Skoro jesteś taki ważny, po co mnie tu wezwałeś?

Ten nic nie odpowiedział, za to wskazał ręką nakryty stół. Po chwili do sali weszło jeszcze dwóch ludzi, pośród których był ten, który Miłosza do zamku wprowadził oraz jeszcze jakiś dygnitarz. Ten ostatni zmierzył wzrokiem przybysza, po czym skwitował:

– Widzę, panie kanoniku, że dobierasz sobie odpowiednie towarzystwo.

A zwracając się do Miłosza, dodał:

– Waćpan pewnie w chlewie ostatnimi czasy jadałeś.

Na co Miłosz równie bezczelnie go potraktował:

– Tak, z takimi knurami jak ty!

Wtedy ten, który sztylet nosił przy pasie oburzył się i krzyknął:

– Sfolguj waść, bo za takie słowa wobec pana skarbnika język stracić możesz!

Miłosz, nie czując żadnych obaw, odparł:

– No to chwyćże tego swego sztylecika i spróbuj.

Wtedy tamten złapał za rękojeść sztyletu, ale zdążył jedynie dłoń na niej zacisnąć, gdy brodacz błyskawicznie wyciągnął z rękawa nóż nie długi, lecz ostry, a przyłożywszy go do szyi intruza, syknął:

– Nim wyciągniesz ten kozik, gardło ci rozpruję, jak rzeźnik prosięciu.

– Człowiek pobladł, a pot oblał jego twarz. Próbował się wyzwolić spod ręki Miłosza, ale ten, trzymając go drugą dłonią za ubranie, nie pozwolił drgnąć.

Dodał przy tym z zaciśniętymi zębami: – Następny razem, gdy zechcesz mi grozić, pamiętaj, że łeb utnę bez wahania.

W to wszystko wtrącił się kanonik:

– Panowie, dajcie spokój! Gośćmi moimi jesteście, dajcie spokój. Ważne sprawy nas tu przywiodły i nie pora teraz na kłótnie. Wojna idzie, panowie!

Emocje opadły. Miłosz nóż schował. Tamten ubranie poprawił. Kanonik rzucił jeszcze:

– A miałeś, Sebastianie, gościa bez broni do mnie przyprowadzić.

Sebastian głowę spuścił i nic nie odparł. Za to gospodarz rozpoczął rozmowę:

– Król szwedzki na Rzeczpospolitą ruszył, lada moment wszystkie północne warownie upadną. To wieść pewna. Książę pruski Fryderyk Wilhelm niczym chytry lis chce również zakraść się do kurnika i parę kasków urwać.

– Spojrzał na brodacza i dalej tak rzekł: – Mówią, że nawet twój przyjaciel Chmielnicki jest gotów Gustawa wesprzeć, byle tylko kraj nasz osłabić. Choć armia szwedzka silna jest, to Karol Gustaw, nie chcąc niczego zaniedbać, również pośród polskiej szlachty szuka sprzymierzonych.

Miłosz słuchał cierpliwie i ni drgnął. Za to skarbnik zapytał:

– Skąd, panie kanoniku, takie masz informacje?

Ten mu odparł:

– Powiedzieć o szczegółach nie mogę, ale to pewne wieści. Wczoraj posłańcy od naszego biskupa zjechali. Goszczę ich w zamku. Odpoczywają.

– Po chwili wprost do skarbnika powiedział: – Wiesz, panie, że nikt inny jak ojcowie kościoła, lepszych i pewniejszych wieści posiadać nie zdoła. Przecież skruszeni potępieńcy dla ratowania swej duszy przed zatraceniem, by dobrze wypaść przed Bogiem, za pośrednictwem ludzkiego ucha nie jedno opowiadają.

Na te słowa Sebastian się oburzył:

– My tu, panie kanoniku, na garnuszku biskupa jesteśmy i w jego warowni. Nie godzi się opowiadać takich rzeczy. A tajemnica spowiedzi?

Skarbnik, z pomocą kanonikowi idąc, powiedział:

– Spowiedź, spowiedzią, a życie, życiem. Nie nam tu teraz prowadzić targ, kto i dlaczego, ale o czym innym mamy rozmawiać.

Kanonik zaśtanowił się chwilę, wina w kielichy kazał służbie nalać, a kiedy już wyszli, znów się odezwał:

– Ja wykonuję polecenia biskupa! – Zaczepnął łyk i pozostałych zaprosił, po czym dalej mówił: – W Piotrkowie posłowie i senatorowie się niebawem zjadą, by w pośpiechu, mając widmo kolejnej wojny przed oczyma, lekarstwa szukać na dręczącą naszą ojczyznę chorobę. Wróg ze wszech stron,

a naród coraz słabszy. Kraj skąpany we krwi i szarpany przez nieprzyjaciół oraz zdrajców. Zbiorą się po to, by radzić, jak szwedzkiej nawałnicy uniknąć. Pośród tych ludzi, będzie kilku magnatów, którzy się spotkać mają dla innego celu. By spisek zawiązać, by kiedy Szwed nadejdzie, do niego się przyłączyć. A że podczas zjazdów i obrad jest wiele zamieszania, chcą wykorzystać moment i zachować anonimowość. Miano obradować w Wolborzu, ale w ostatnim momencie ktoś zmienił plany.

Zapanowała cisza. Wtem do sali weszło jeszcze dwóch ludzi w duchowych szatach. Powitali kanonika, dostawiono im nakrycia i krzesła, po czym zasiedli przy stole, a winem poczęstowani rozglądali się po sali, nic nie mówiąc. Kanonik zaś dalej opowiadał:

– Ojczyzna znów w potrzebie. Zebrałem was tu, bo jako najbardziej zaufani mi jesteście.

Spoglądali, jeden na drugiego, by w końcu wzrok wszystkich skierował się w kierunku brodacza. Wtedy kanonik rzekł tak:

– To mój brat, Miłosz. Niech was szaty nie zmylą, bo to znakomity żołnierz, jedynie trochę się zaniedbał. W niełaskę popadł, gdy go jako zdrajcę uznano, bo z Chmielnickim się znał, a nawet z nim pod hetmanem Koniecpolskim wojował. Ale kiedy Chmielnicki na Sicz uciekł i tam powstanie wzniecił, które po dziś dzień krew z narodu sączy, brata mego zdrajcą obwołano. Jako że ten zarzut również na moją reputację ma wpływ, chciałem by mój brat pomógł naszej sprawie i tym samym, by wszelkie podejrzenia z jego osoby zdjęte zostały.

Miłosz ni drgnął, wzrok wlepił w kielich, stojący przed nim, a mając przed oczyma czerwone wino, przez chwilę zanurzył się we wspomnieniach. Ale w umyśle była pułtka. Od czasu, kiedy kula muszkietu odbiła się od jego głowy, wiele uciekło z jego pamięci i w żaden sposób nie chciało powrócić. Zaraz też oprzytomniał i wykorzystując chwilę zadumy pozostałych, wtrącił:

– Gdyby Chmielnickiemu Korona sprawiedliwość okazała, do dziś by swoją szablą jej służył. A i teraz, gdy jak mówisz, panie kanoniku, Szwedzi na kraj nasz ruszyli, to nie byłaby Korona wykrwawiona, a wzmocniona kozacką odwagą.

Kanonik uśmiechnął się, po czym odparł:

– Ty nadal sympatyzujesz ze zdrajcą?

Padła odpowiedź:

– Nie, ja tylko mówię to, co myślę, a że to prawda, okaże się niebawem, kiedy wróg kraj spustoszy. Będziecie się zaścianawiać, skąd nabierać szabel dla powstrzymania przeciwnika.

Sebastian zapytał:

– A ty będziesz wiedział?

Miłosz rzekł do niego:

– Przyjdzie czas, że chłopstwem się będzie musiała Rzeczpospolita ratować.

Na te słowa zebrani w śmiech uderzyli. A dygnitarz, który już raz się wcześniej odezwał, przypomniał o sobie, mówiąc:

– Z kim przyśtajesz, takim się stajesz!

Miłosz zamilkł, przesyłając mu jedynie gniewne spojrzenie. Ponownie odezwał się kanonik:

– Nadszedł czas byś z siebie wszelką hańbę zmasał i pomówieniom wszelkim, czynem dał świadectwo, żeś tej ojczyźnie oddany.

Miłosz, trochę zniechęcony, odparł:

– Nigdy mej ojczyzny nie zdradziłem, a krew wiele razy przelewałem w jej obronie.

Kanonik próbował go udobruchać:

– Wiem, bracie, wiem. Jednak inaczej cię osądzano. Ale teraz znów jesteś potrzebny.

Miłosz zapytał:

– W czym rzecz?

Kanonik spoważniał, rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, czy nikt niepożądany nie podsłuchuje, po czym, ściszywszy głos, wymamrotał:

– Bóg chciał, byśmy wiedzieli, gdzie owi zdrajcy, o których mówimy, w Piotrkowie się spotkają. –

Po chwili cizy dodał: – Trzeba będzie ich zabić.

Skarbnik zakończył:

– Amen.

Wtedy służdy ubrani w granatowe bluzy z białymi kołnierkami, przepasani w biodrach pasami, wnieśli na salę półmisy wypełnione pieczonym mięsem, owocami. Podano do stołu, a ci, którzy przy nim siedzieli, zaczęli odrywać kawały i napychać żołądki. Jedynie brodacz siedział zamyślony, jakby z innego świata był i to, co przed chwilą usłyszał nie docierało do niego. Z tego stanu wyrwał go głos brata. Kanonik podszedł i położywszy dłoń na jego ramieniu, szepnął do ucha:

– Cóż to, nie jesz? Pewnie jesteś głodny.

Miłosz zapytał go:

– Dlaczego miałbym ci pomóc i pójść tam, pozabijając tych ludzi?

Z ust jego brata padła odpowiedź:

– Obaj wiemy, że w niełaski popadłeś i tylko dzięki mojej dobrej woli mogłeś spokojnie mieszkać ze swoimi zwierzętami w jednej z chałup, które ci ofiarowałem. Teraz czas odpłacić dług.

Brodacz pokiwał głową:

– Niezwykle łaskaw jesteś. Chałupa, w której mieszkam, pamięta jeszcze naszych dziadów, ubogich, ale oddanych ojczyźnie szlachciców.

Kanonik odparł:

– Jeśli załatwisz tę sprawę, otrzymasz list, zwalniający cię z zarzutów.

– Jak to? – spytał Miłosz.

Brat mu odpowiedział:

– Biskup Kazimierz z naszym królem w komitywie wielkiej żyją. Uprosiłem go, by się w twojej sprawie wstawił, a król przystał na to, bym ja zdecydował, kiedy ci ułaskawiające pismo oddać. Mam je od jakiegoś czasu, nie było okazji. A teraz powinienes już iść.

Brodacz wstał od stołu, a na pożegnanie usłyszał:

– Czekaj! Wezwę cię, kiedy będzie pora. Tylko żebyś nie był pijany!

Miłosz opuścił pokój, a wtedy skarbnik zagadnął do kanonika:

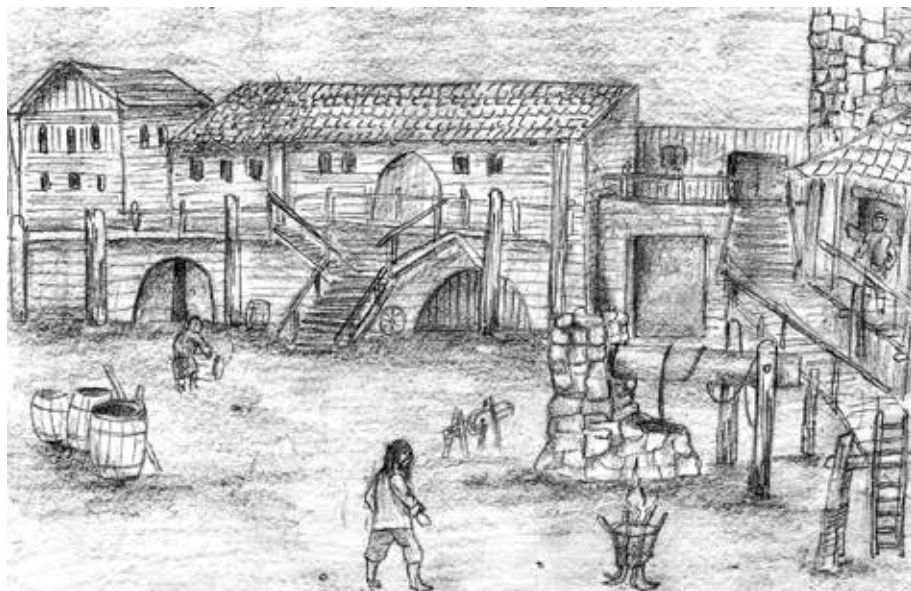
– Myślisz, że to dobry pomysł, by pomógł wykonać tę robotę?

Kanonik odparł:

– Jest niezłym rzezimieszkiem, lata na wojnach uczyniły go hardym i bezwzględny. Poza tym jest charakterystyczny. Bez oka. Jeśli coś pójdzie nie tak, łatwo będzie na niego zwalić winę. A jeśli się spisze, wynagrodzę go sowicie. – Potem do Sebastiana rzucił: – Ty będziesz za całą operację odpowiedzialny. Kiedy nadejdzie czas, zabierzesz dwóch swoich i mego brata!

Sebastian pokłonił się nisko i wyszedł.

Tymczasem Miłosz po całym dniu spędzonym u brata niezatrzymywany przez nikogo pokonał drewniane, skrzypiące schody i szedł do bramy wyjściowej. Teraz dokładnie widział to, co mu umknęło, wchodząc do zamku. Mimo iż wody w okolicy było pod dostatkiem, znajdowała się tam kamienna studnia. Wzdłuż budynków było kilka drewnianych pomostów ułatwiających przemieszczanie. Ominął to wszystko, by stanąć u bramy. Ale tuż przy niej dwóch strażników zagroziło mu drogę. Most był podniesiony i wyjścia nie było, więc czekać musiał pokornie, aż mu ktoś otworzy. Na murze, przy każdej baszcie świeciła pochodnia, przy bramie wjazdowej było ich aż cztery. Ich płomienie tańczyły na wietrze i mimo że noc już była, wraz z pochodniami umieszczonymi na ścianach zamku oświetlały cały dziedziniec. Ze stajni dolatywały głosy zwierząt. Rżenie koni i ryczenie byków. Te drugie, pewnie na rzeź przyprowadzone, nieświadome swego losu, nawoływały się wzajemnie.



Służba kończyła swe codzienne zajęcia i skryła się w izbach. Na murach pozostała jedynie nocna straż. Po jakimś czasie z zamkowego okna wyłoniła się czyjaś postać i krzyknęła:

– Wypuście go!

Po chwili jeden z ludzi mających straż przy bramie zniknął w pomieszczeniu pod wartownią. Nie trzeba było długo czekać, gdy most na grzechoczących i piszczących łańcuchach, opadł na ziemię, umożliwiając przejście. Brodacz ruszył ku osadzie. Głos go pożegnał:

– Do nas ciężko wejść, a jeszcze ciężiej od nas wyjść!

Ale Miłosz nic już nie odpowiedział. Pograżony w zadumie, człapał z wolna i wzdychał.